

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## WAKACYE W WARSZAWIE.

POGADANKI O ARCHITEKTURZE

przez

*Waleryę Marrené - Morzkowską*

(Dalszy ciąg).

— A ojciec takie widział?  
— Widziałem nie jeden.  
— A papier nie niszczał przez tyle wieków?

— Pisano wówczas nie na papierze ale na pergaminie, był to materiał wyrobiony ze skóry, bez porównania trwalszy od papieru.

Zakonnicy byli także głównie budowniczymi, oni to stawiali opactwa i klasztory, opasywali je najczęściej murami, dodawali baszty obronne, bo w razie napadu klasztor stanowił fortecę, chroniła się do niego ludność okoliczna i dopomagała w obronie.

— To tak, jak było w Częstochowie — odezwał się Tadeusz — której Szwedzi zdobyć nie mogli.

— Średnie wieki, jak wiesz, były widowiskiem nieustannych walk, więc i potrzeba miejsc obronnych mnożyła tak zbudowane klasztory, żeby się mogły oprzeć najazdom. Sam kościół zresztą mający wszystkie nawy sklepione, z małymi otworami, w czasach, w któ-

rej broni palnej nie znano, stanowił już sam przez się warownią

— A dlaczego teraz takie kościoły budują? — zapytała Halinka — teraz przecież nie potrzeba ciągle się bronić.

— I! cóżby tam znaczyła taka obrona — wtrącił Tadeusz, armaty od razu rozwaliby mury. Więc dlaczego takie stawiają?

— A cóż powiedzieliście oboje spojrzawszy na kościół? — z kolei zapytał ojciec. — Czy pamiętacie?

— Ach! tak — zawołała Halinka, ja powiedziałam, że jest śliczny, a jak ojciec zwrócił naszą uwagę na szczegóły, to jeszcze mi się piękniejszy wydaje, jest tak poważny a taki spokojny.

— Powaga i spokój są własnością romańskiego stylu, a one przystają kościołowi, wolno budowniczym stawiać je w jakim chcą stylu, byle założyć uczynić tym warunkom.

### VII.

Następna przechadzka była bardzo zajmująca. Pan Jacyński poszedł z nimi na plac Zygmunta a potem przez zjazd i most na Pragę.

— Aha! pójdziemy obejrzeć kościół św. Floryana — wyrzekł Tadeusz.

— Przecieżeś się domyślił — odparła, wzruszając ramionami Halinka. — Ja ucieszyłam się zaraz, jak zobaczyłam, że ojciec idzie na plac Zygmunta, tak jestem tego kościoła ciekawa! Tyle razy widziałam go, z daleka, pamię-



*Kościół św. Floryana.*



tam nawet, jak te mury rosły nam w oczach i wież jeszcze nie było.

— A czemu mi nie powiedziałeś odrazu, gdzie idziemy — wymawiał jej Tadzio.

— Ee! zaraz wszystko mówić. Czekałam, czy się domyślisz.

— Widzisz, ja domyśliłem się także.

— Wielka sztuka, jak byliśmy już na Pradze.

— Byliśmy dopiero na moście, kiedym ja się domyślił.

— Jakiś ty zabawny, gdzieżeśmy mieli pójść przez most, jak nie na Pragę.

— Mogliśmy pójść na Saską Kępę.

— Jest też tam co oglądać? A potem na kępę płynię się łódką. Już ty mój Tadzio nie jesteś domyślny..

— A ty czasem domyślasz się tego, czego niema.

— No, no, nie macie się o co swarzyć — przerwał pan Jaczyński, widząc, że Halinka głos podnosi a Tadzioowi łyż do oczu podchodzą — ciekawy jestem, co mi o tym kościele powiecie?

Zaraz z mostu skierowali się na prawo i przed nimi zarysowała się świątynia w całym swym majestacie. Zbudowana w kształcie krzyża łacińskiego z dwoma strzelistymi wieżami, ze sterczynami na frontonie, wznoszącym się między niemi i na frontonach bocznych ponad ramionami krzyża. Cała świątynia z czerwonej cegły, chociaż jeszcze nie wykończona, czyniła wspaniałe wrażenie.

Przez długą chwilę stali zapatrzeni.

— Ojcie — zawołała z zachwytem Halinka — ten kościół to jeszcze piękniejszy i od katedry i od św. Augustyna i chyba od wszystkich kościołów, jakie widziałam!

— Masz słusność — odpowiedział ojciec. — Wprawdzie nie wiele widziałeś, ale i ja także, choć widziałem wiele więcej od ciebie, zaliczam go do bardzo pięknych.

Tadzio nic nie mówił, tylko przysłuchiwał się bardzo uważnie.

— To gotyk ojcie — wyrzekł z wielkim namysłem.

— Naturalnie, że gotyk, to zaraz rzuca się w oczy — przywodziła Halinka — iglice, ostrołuki, sterczyny, cóżby innego być mogło? A jak dużo tych iglic! Wznoszą się w koło wież; a wyżej ojcie, to jakieś paszcze wystające przy wieżach. Co to jest?

— To są wylewy i rynny, zakończone fantastycznymi paszczami, które tu stanowią czdobę dopasowaną do całej ornamentacyi średniowiecznej. Zadaniem ich jest odrzucać wodę daleko by ochronić mury.

Długo przyglądali się wspaniałej fasadzie, potem przez furtkę weszli do ogrodu, które otacza budujący się gmach a Halinka zawołała:

— Ojcie! ojcie! patrz, jakie trzy łuki na dachu. Co to jest? nie widziałam nigdy nic podobnego.

— Przypatrzcie się dobrze, takie łuki zwane po polsku przełęcze, są to właściwe przypory gotyckie.

— A niema takich przy katedrze — zauważył Tadzio.

— Tam są takie same przypory, jak przy kościele św. Augustyna i kościele kalwińskim na Lesznie — dodała Halinka.

— Masz słusność, ale są różne rodzaje gotyku, każdy kraj kształtował go według swoich potrzeb i smaku. W Polsce takie przełęcze trafiają się rzadko, w Krakowie

np. niema ich ani na kościele Maryackim ani na Wawelu. Są one także ozdobą w gotyku angielskim, którego charakter przy ostatniej restauracyi nadano naszej katedrze. Tymczasem nad brzegami Renu, prawdziwej kolebce stylu gotyckiego, w całej Francyi, Belgii, Niemczech, Włoszech i Hiszpanii, spotykamy takie przełęcze, niekiedy nawet podwójne i potrójne. Za ich to pomocą stawiano niezmiernie wysokie sklepienia, bo one je podtrzymują i wzmacniają. One to nadają tak wielką lotność budowlom tego stylu. Przełęcze giną zazwyczaj wśród bogatej i strzelistej ornamentacyi wieżyczek, posągów, iglic, które jakby koronki otaczają budowlę w około, wykwitającą z pośród nich wysokością głównej nawy i lotnemi wieżami.

— Tak jak tutaj, ojcie?

— Widzicie także, iż kościoły gotyckie są stawiane z rozmaitych materyałów. We Włoszech wiele kościołów stawianych jest z marmuru, jak słynna katedra medyolańska, lub wykładane różnobarwnymi marmurami, jak katedry we Florencyi i Ferarze i wielu innych miastach. W katedrze św. Jana, w kościele kalwińskim jak i katedrze na Wawelu materyał pierwotny ginie pod tynkiem. Kościół św. Floryana, jak Maryacki i Dominikański w Krakowie stawiane są z cegły tak zwanej modelowej, to jest wyrabianej ze szczególną starannością.

— Tak samo jak romański kościół św. Augustyna — przypomniła Halinka.

— Tak samo. W dawnych czasach wyrabiano także cegły emaliowane o różnych kolorach i układano z nich desenie i gzemysy.

— Czy niema takich w Warszawie? — spytała zawsze ciekawa Halinka.

— Niema!

— Ah! jaka szkoda, jabym tak chciała je zobaczyć.

— Przypatrz się za to tutaj, jak ślicznie wyrobione są z cegły węgasy i obramowania okien i różycy, umieszczone w wielkim oknie nad głównem wejściem.

— Ojciec mówił — rzekła po namyśle Halinka — że w kościołach romańskich drzwi główne, tworzy zagłębienie złożone z kolumn złaczonych łukiem.

— Pokażę wam to przy pierwszej naszej wycieczce.

— Ale patrz ojcie i tutaj są podobne drzwi główne, tylko zamiast póikola, ostrołukowe — zauważyła dziewczynka.

— Masz słusność. Jest to właściwość wspólna stylowi gotyckiemu, jak i romańskiemu, które pomiędzy sobą mają wiele podobnych szczegółów. Niema w tem nic dziwnego, ponieważ pierwszy przerodził się w drugi. Przemiana nie nastąpiła z dnia na dzień, ale odbywała się powoli. Przytem w średnich wiekach budowa wielkich gmachów trwała, jak wam mówiłem, bardzo długo, wymierały przy nim całe pokolenia budowniczych, plan pierwotny ulegał rozmaitym zmianom, stosował się do smaku chwili. Nieraz kościół rozpoczęty w stylu romańskim, kończono w stylu gotyckim. Nieraz też dodawano później ozdoby gotyckie do gmachów, dla których nie były wcale odpowiednie.

(d. c. n.)



## Pokłosie.

Puste dokoła  
Ciagną się lany,  
Aż po bór siny  
I zadumany.  
Już gęsi pasą  
Się po ugorze,  
Bo żółto zboże,  
Złociste zboże;  
Nie brzęczą sierpy  
Nie brzęczą kosy —  
Ani wesołe  
Brzmia w okół głosy.  
Skończone żniwo,  
Zwiezione zboże,  
Pusto i cicho  
Już na ugorze.  
W polu się jeszcze  
Krzążą dziewczki,  
Lecz już wesołej  
Nie nuczają śpiewki;  
Ani się z taką  
Uciechą trudzą,  
Ani się z taką  
Ochotą budzą,  
Do ciężkiej pracy  
Na szarym łanie,  
Na pozostałych  
Kłóskach zbieranie...  
Nad niwą szarą  
Zdała od siola  
Widać robotnic  
Schylone czoła —

— Tu jeszcze kłosek,  
Tam drugi może...  
I tak po cichym  
Chodzą ugorze...  
A gdy się wieczór  
Przybliży letni,  
Płynię zdaleka  
Cichy dźwięk fletni,  
Na której pasterz  
W wieczornej dobie  
Idąc za bydłem  
Przygrywa sobie.  
Kiedy miesiąca  
Twarz błysnie biała,  
Wszystko się w koło  
Do snu układa —  
I z pola schodzi  
Lud jej roboczy,  
Lecz nie tak wesół,  
Nie tak ochoczy,  
Szczerze, prawdziwie  
Jak to bywało  
W polu przy żniwie;  
Idą i dziewczki  
Co pozostały  
Na żętem polu  
Kłós pobierały,  
Wesele już w ich  
Nie dźwięczy głosie,  
To już nie żniwo —  
To już pokłosie!

T. K.

## ZABAWY.

(Dokończenie).

Na dworze Zygmunta III go i jego synów w XVII w. nie wyprawiano już tak wspaniałych gonitw i turniejów. Za to każdy dwór pański i szlachecki przy zdarzonej okoliczności, urządzał zabawy rycerskie. Zresztą, nie czekano nawet uroczystości, zaledwie zjechała się młodzież, zaraz popisywano się zręcznością, siłą i konną jazdą, do której służyły konie licznie w każdym gospodarstwie hodowane, a które do takich popisów podawano najczęściej nie ujeżdżone.

W XVIII wieku w Dreźnie, podczas zaślubin Fryderyka Augusta III z Maryą Józefiną, córką cesarza austriackiego Józefa I, wyprawiono karuzel, w którym brały udział tylko same damy.

W karuzeli tym najpierwszą nagrodę otrzymała ośm-nastoletnia Helena Ogińska, wojewodzianka.

Słysnęła ona od najmłodszej młodości nadzwyczajną zręcznością i siłą.

Gdy miała lat dwanaście odbywały się rozmaite popisy konne na dworze jej ojca. Młodzież dosiadała nieujeżdżone konie, chwaliąc się, że umie doskonale je zażyć.

Wyprowadzono wszakże konia, którego żaden z obecnych nie mógł pokonać. Koń się rzucił i nikomu nawet przystąpić do siebie nie pozwolił. Wtedy Helenka zbliżyła się do ojca i rzekła:

— Pozwól mi, proszę, ja go dosiędę!  
— Co tobie w głowie, dziewczyno, ani mi się waż! —  
zawołała z przestachem matka.

Helenka wielce zasmucona przyklękła u jej kolan i zaczęła usilnie prosić o pozwolenie.

— Pozwól, ona nawet do konia się nie zbliży, gdy zobaczy, jaki to w nim ogień i gwałtowny charakter — szepnął pan wojewoda do małżonki.

Przekonana tem pani wojewodzina zezwoliła.

Uszczęśliwiona Helenka podbiegła do wyrwającego się z rąk stojących rumaka, i gdy kilku silnych mężczyzn nie mogło go utrzymać, ona pochwyciła go za uzdę i lekko wskoczyła.

Koń stanął dęba, lecz poczuwszy nieznaną sobie dotąd siłę, dał się kierować jak dziecko.

Z wielkim tryumfem i ku zdziwieniu wszystkich zgromadzonych, objechała tryumfalnie plac dokoła, skłoniła się dwornie rodzicom i poklepawszy pięknego wierzchowca po szyi, oddała go w ręce stojących.

— A co? — zawołała, przypadając do kolan matki.

Wojewodzina odetchnęła teraz swobodniej.

Wojewoda zaś rzekł:

— Daruję ci tego konia, moja córko, nazwij go sobie jak chcesz.

— Niech mu będzie: „Pokonany” — zawołała Helenka, nie namysławiając się długo.

Lecz ta nieustraszona siła i odwaga nie przeszkadzała dzielnej dziewczynie wyrosnąć na zającą i pełną cnót niewiastę. Słysnęła niemi za życia i pamięć ich po sobie zostawiła.

Później wszakże zabawy rycerskie przestały już być popisami szlachty na dworach królów. Zastąpiono je płacnymi skoczkami, sprowadzanymi najczęściej z zagranicznych krajów.

Wprawdzie Stanisław August podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Jana Sobieskiego w r. 1788, urządził coś naksztalt turniejów. Lecz popisy przebranych po francusku paniczów, były tylko słabem naśladownictwem dawnych gonitw i zabaw.

Zręczni byli, to prawda, ale zręcznością cyrkowych akrobatów i jeźdźców, nie zaś dzielnością prawdziwych rycerzy.

Z. Morawska.



Zofia Urbanowska.

## RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej

(Dokończenie).

Zamyśliła się ona bardzo nad tem co się zdarzyło, ale nie pytała o nic — i gdy ją posadził na ziemi, wróciła do poprzedniego zajęcia.

A brat i siostra siedząc przy sobie, przytuleni jedno do drugiego, jak niegdyś w Miriatyczach, nad jeziorem, ręka w rękę, gdy on był chłopcem a ona trzynastoletnią dziewczęciątkiem, jeli opowiadać sobie wzajemnie dzieje tych długich lat rozłąki, i łzy płynęły z oczu obojga. Tak byli za-



topieni w rozmowie, że nie słyszeli jak ktoś w pobliżu wymówił kilkakrotnie imię sir Edwarda. W bramie cementarnej stanęli Henryk, Witold i Jakób. Chłopiec ujrawszy babunię Kasię siedzącą obok baroneta i trzymającą jego rękę w obu dłoniach, stanął jak wryty.

— Heniu! — zawołała Marysia, biegnąc ku niemu — ten stary pan co mnie i moje króliki przyniósł na rękę, wtenczas kiedy był wicher halny, to nasz dziadunio!

Chłopiec patrzył nie wierząc własnym oczom, ale w wyrazie twarzy babki wyczytał, że siostrzyczka mówiła prawdę.

— O, sir! — zawołał, rzucając mu się na szyję — czy to być może? Jesteś więc tym, którego u nas zawsze oglądano? Mogę więc kochać cię swobodnie?

— Mów po polsku, chłopcze — odrzekł, przyciskając Henryka do piersi — bo jak widzisz, jestem naprawdę twoim dziadkiem. Nie chciałeś ze mną jechać do Anglii, więc ja zdecydowałem się pojechać z tobą do Miriatycz.

— O, co za szczęście — szeptał chłopiec, całując jego ręce — co za szczęście! Panie Jakóbie, panie Witoldzie, chodźcie tu, chodźcie. Wielka nowina: mam dziadka!

— Ja się tego dawno domyslałem — odezwał się Jakób, ściskając rękę Warburtona.

— I ja także — dodał Witold. — Ale sir, Walter z Dawidem szukają pana wszędzie.

— Czyżby się co stało mej synowej? — zapytał zaniepokojony, i podniósł się.

— Nie sędzę — odrzekł Witold — tylko podobno mały hrabia znalazł w Strążyskach różę bez kolców.

Dawid blady, wzruszony, zmięszany obecnością tylu osób, których znaleźć tu razem nie spodziewał się, zbliżył się do dziadka i oddając mu gałązkę otrzymaną od Henryka, przemówił głosem drżącym:

— Sir, oto jest *Rosa alpina*, ale nie ja ją znalazłem, tylko ten mały Polak — dodał, wskazując na swego rywala. — Jam mu pozazdrościł tej zdobyczy, ja go skrzywdziłem niegodnem posądzeniem i on mi ją ustąpił...! Okazał się wspaniałomyślnym i szlachetnym, bo obraziłem go ciężko

po dwakroć, a on ani razu nie poskarżył się przed tobą. A dziś, gdyby nie on, umarłbym może, bo zabił żmiję jadawitą składającą się do mnie, podczas gdy ja spałem, i nie powiedział mi nawet o tem!

— Brawo Henryku — powiedział sir Edward — jestem z ciebie dumny, mój chłopcze! A i ty Dawidzie lepszym jesteś niż myślałem, skoroś się zdobył na odwagę powiedzenia prawdy, skoroś się przyznał publicznie do błędu! Ciesz się mnie to, bo widzę, że grunt jest w tobie prawy.

Dawid, który ciężką z sobą przedtem stoczył walkę, postanowił być uczciwym do końca i wyciągając rękę do Henryka, rzekł:

— Przebac mi, jeżeli możesz i pozwól się kochać, bo nie śmiejem cię prosić żebyś mnie także... pokochał choć trochę.

Henryk ujęty szczerością tych słów, wyciągnął do niego ramiona i obaj chłopcy uściskali się serdecznie.

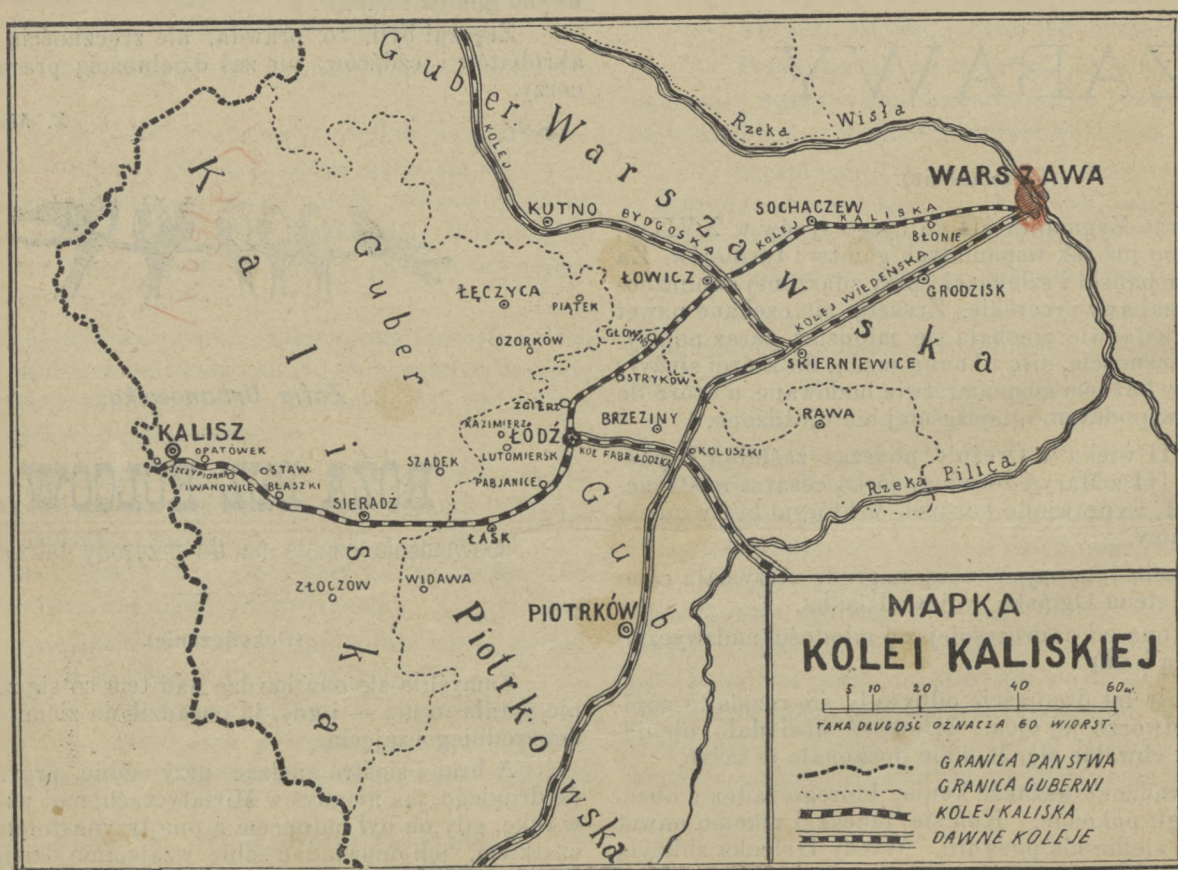
— Jest ważna wiadomość sir — odezwał się Walter, usuwając nieco Davego i wskazując na niemłodego człowieka w podróżnym ubraniu. — Oto jest pan Chwoyko, Słowak, ogrodnik z Osieka. Przybył dziś z Węgier. Spotkał się on z doktorem Strandem nad jeziorem Szczyrbskim, gdzie tatatan zapuszczał ołowiankę.

— A więc Strand jest na węgierskiej stronie? — zapytał zżywieniem Warburton.

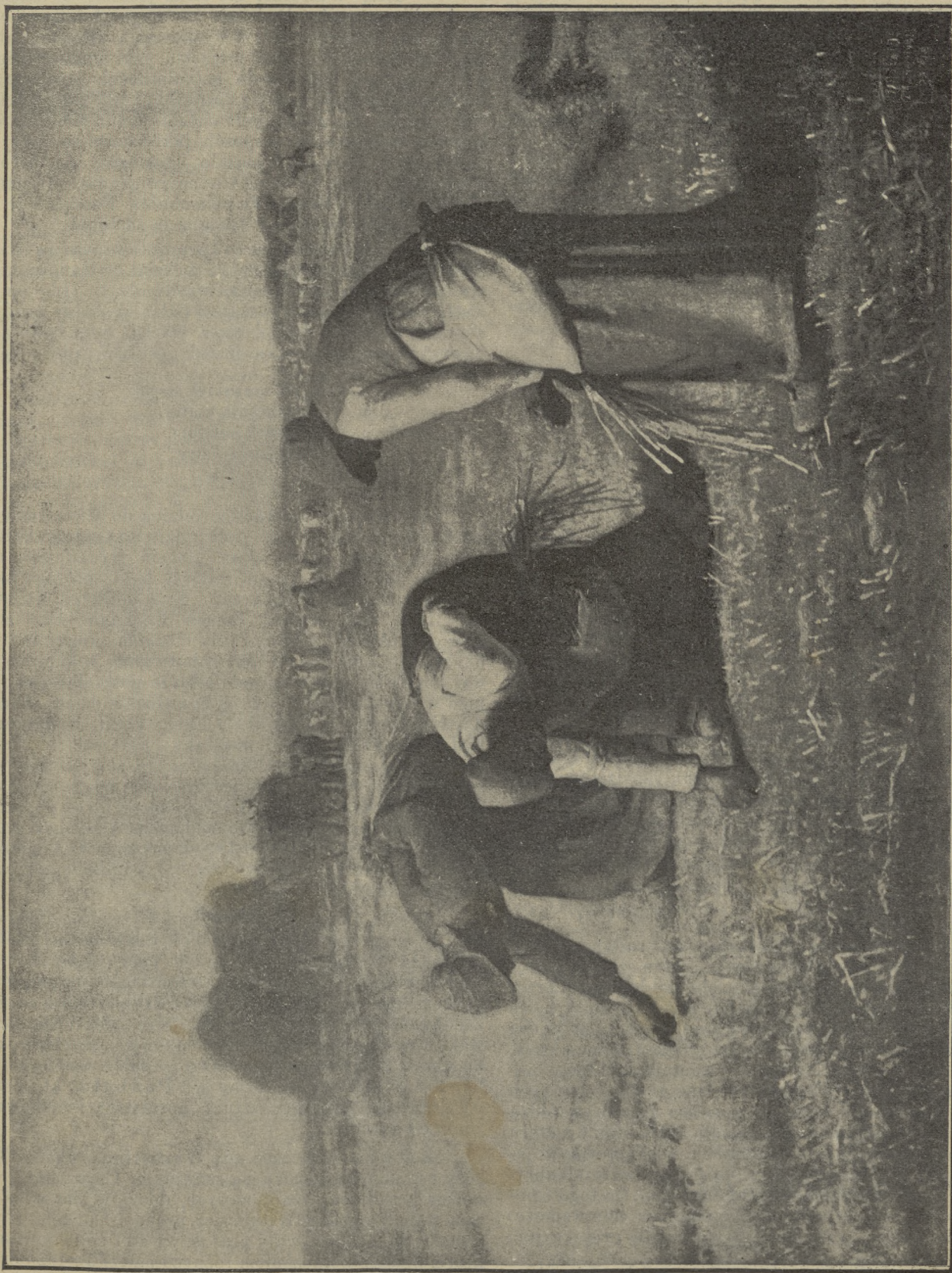
— Tak. Otóż profesor pamiętający ciągle, że sir Edward pragnie posiadać różę bez kolców, dowiedział się, że pan Chwoyko jedzie do Zakopanego, i wymógł na nim słowo, że natychmiast po przybyciu przedstawi się Waszej Dostojności, ma bowiem ważną wiadomość do zakomunikowania. Pan Chwoyko hoduje różę błękitną.

— Co! — zawołał zdumiony Warburton — różę, których tajemnicę hodowli znali tylko Maurowie hiszpańscy, i o których pisał d'Orbessan, że je widział na własne oczy, choć nikt mu nie wierzył? To niepodobna!

— Tak Wasza Dostojności — rzekł, kłaniając się nisko przybyły — posiadam te różę i żadnych tajemniczych środków nie używam do ich otrzymania. Sprowadziłem je







Pokłosie.



z Serbii, gdzie rosną na bagnach i trzęsawiskach. Róże te silnej budowy, są bezbronne. Na ich łodydze pojawiają się z początku małe, czerwone kolce, ale te odpadają później: kolor listków jest fioletowy.

Warburton popatrzał przez chwilę na mówiącego, a potem powiódł wzrokiem po otaczających i rzekł:

— Moi panowie, to czego szukałem, przyszło za późno; nie pragnę już róży bez kolców. Zgrzeszyłem ubiegając się za nią całe życie... Chrystus wieńczony był koroną z cierni... Odtąd będę hodował tylko róże z kolcami.

Słowa te, jakich nikt nie spodziewał się usłyszeć, zdumiały słuchaczy. Wszyscy spoglądali na siebie, nie pojmując co to znaczy.

Sir Edward smutnie się uśmiechnął.

— Jestem przytomny — odrzekł — a to co mówię jest owocem dojrzałego namysłu. Niemniej okaz *Rosa alpina* znaleziony przez Henryka, zostawiam sobie na pamiątkę, bo dzięki „róży bez kolców,” której szukałem w tych górach, kwiaty nadziei kwitną na nowo w moim sercu!

— Gdzie jest Jego Dostojność? — wołał zdaleka Jerry, biegnąc zadyszany i przepychając się przez wszystkich, otaczających baroneta. — Kuryer z Londynu przyniósł list do Waszej Lordowskiej Mości!

— Co to znaczy? — zapytał Warburton, spojrzawszy na groma z brwią ściągniętą i wziął list z jego ręki. — Jak on mnie nazwał...! — i rzuciwszy okiem na pismo, szepnął: — Od lorda kanclerza.

Koperta była duża, a na niej śmiałym, zamasztyłym charakterem, adres następujący:

„Do Jego Lordowskiej Mości baroneta Edwarda Warburtona, pana na Rochdale.”

Płomień przebiegł po twarzy sir Edwarda. Złamał pieczęć, otworzył kopertę i czytał:

„Kochany Lordzie. Jej Królewska Mość Najjaśniejsza królowa Wielkiej Brytanii i Cesarzowa Indyi, w nagrodę za szczególne usługi wydawane królewskiej rodzinie, oraz za obywatelską pracę nad polepszeniem bytu robotnikom w Twoich posiadłościach i zakładach fabrycznych, nadała Panu tytuł lorda i zrobiła Cię dożywotnim członkiem Izby Wyższej. Pozwól żebym Ci tego pierwszy powinszował i zarazem uczynił zapytanie, czy nie chciałbyś przyjąć teki ministra handlu? Brakuje nam tu Ciebie bardzo, kochany Lordzie; mamy różne kłopoty, a Ty nie troszczysz się o nas i siedzisz bez końca w jakiejś górskiej wiosce. Potrzebujemy bardzo rad Twoich co do nowego bilu, jaki ma być uchwalony i wyglądamy Twego powrotu,

Życzliwy przyjaciel,

Salisbury.”

Skończywszy czytanie, Warburton stał zadumany z listem w ręku, i tłum go myśli otoczył. Był u szczytu powodzenia: majątek, sława, władza, garnęły się do niego. Trzeba tylko jednego jego słowa, a wielkie państwo odczuje siłę jego ręki. Niegdyś na losy ludów wpływała żądza podbojów; dziś przeważnie wpływają czynniki handlowe i ekonomiczne, bo one stanowią kwestyę ich bytu — a interesa jednego narodu, oddziaływają, jak drgania świetlne na sprawy innych w dalekim promieniu. One są gruntem na którym rodzą się gromy wojen i gałązki oliwne pokoju. Jeśli stanie u steru rządu, miliony ludów na obu półkulach, poczują wpływ jego władzy na siebie. Znał słabe i silne strony lwa wielkobrytańskiego, i w oka mgnieniu, w genialnym umyśle tego człowieka, zarysował się plan potężny, mający na celu wzmoczenie potęgi ekonomicznej Wielkiej Brytanii. Cła protekcyjne, zdobycie nowych dróg wywozu, i cały szereg pomysłów, jeden od drugiego śmielszych, świetniejszych, przesunął się przed oczyma jego duszy.

— Kiedyż wracamy do Anglii, milordzie? — zapytał Walter, zgadujący kierunek myśli Warburtona z wyrazu jego twarzy.

Lord ocknął się jak ze snu zbudzony.

— Nigdy, Walterze — odrzekł stanowczo: — wracam z moimi krewnymi na Litwę. Anglia nie zobaczy mnie więcej.

— Ja z panem, milordzie, bo i mnie ciągnie rodzinny kraj mego ojca — rzekł młodzieniec.

— Nie, Walterze, nie teraz jeszcze: ty musisz mnie w Anglii zastąpić. Będziesz towarzyszył lady Chester do Rochdale, i pomożesz jej w wychowaniu Dawida, aby nauczył się rozumnie używać majątku, jaki mu zostawię. Dopiero gdy on dojdzie do pełnoletności, powrócisz jeżeli zechcesz, a ja powitam cię z radością, jeżeli żyć jeszcze będę. Zrobię cię moim pełnomocnikiem z nieograniczonym prawem zarządzania, w sposób, jaki uznasz za dobry. Trud to niemały, obowiązki ciężkie i rozległe, ale wiem, że to zrobisz dla mnie, bo znam twe przywiązanie. I ja też mam coś dla ciebie. Wiem, że pokochałeś Fanny, i że ona ci sprzyja. Zeń się więc, oddaję ci ją za żonę!

Nikt z obecnych nie był przygotowanym na to co usłyszeł; lord Warburton szybko powziął postanowienie i nie tracąc czasu, zaraz je w czyn wprowadzał. Gdy on umilkł, zagłębiwszy swoim zwyczajem palce w skręty brody, nikt się nie odzywał. Wśród ciszy, słychać było tylko z daleka dzwonki krów, a z bliska dźwięk gęślików i piosenkę:

„Od orawskiej strony  
Poduchują wiatry,  
Śnieżek polatuje,  
Osiedziały Tatry.”

\* \* \*

Lord Edward powrócił z rodziną do Miriatycz i zasiadł na dawnym miejscu przy stole, gdzie lata całe nakrycie czekało na niego puste. Pan Marcin triumfował, a stara Urszula witała ze łzami radości tego, którego pragnęła jeszcze ujrzeć przed śmiercią. Swoją olbrzymią majątek podzielił na trzy części. Zamek Rochdale wraz z ziemią i przyległościami zostawił dla Dawida, kopalnie i fabryki darował pracującym w nich robotnikom, a kapitały zachował dla siebie i użył na podniesienie gospodarstwa i rozwój jego w Miriatyczach, oraz na kształcenie dzieci. Walterowi darował domy w Londynie, a Fanny hojnie wyposażył. Odkąd zamieszkał na wsi i przestał się nazywać Warburtonem na Rochdale, czuł się zupełnie szczęśliwym, jedna tylko myśl zasępiała mu czoło, jeden jeszcze węzeł wiązał go z Anglią: grób Ryszarda. Chciał jego ciało sprowadzić do Miriatycz i pochować na skromnym wiejskim cmentarzu obok matki, ale porzucił tę myśl, bo Ryszard zrodzony z matki Angielki, i nie znający rodzinnej mowy ojca, był Anglikiem, i ziemia Miriatycz byłaby dla niego obcą.

Sabała umarł w r. 1894 dnia 8 Grudnia dożywszy lat 83. Spoczął na cmentarzu obok doktora Chałubińskiego i księdza Stolarczyka. Pogrzeb miał wspaniały: oprócz reprezentanta Towarzystwa tatrzańskiego, przemawiali nad grobem jego inni delegaci. Maska zdjęta zaraz po śmierci, zachowała jego szlachetne rysy, które tylokrrotnie już malowano i rzeźbiono. Doktor Matlakowski umarł w roku 1895 na wsi, w Zbijewie, ale zostawił po sobie dzieło p. t. Zdobienie i sprzęt ludowy na Podhalu, którem postawił prawdziwy pomnik sztuce góralskiej i zachował ją na wieki od zatury.

Zakopane, od czasu gdy Warburton szukał w Tatrach róży bez kolców, bardzo się rozwinęło. Coraz mniej widzieć można brzydkich, szablonowych domków, bo mieszkający tam stale Stanisław Witkiewicz, pracuje nad tem, aby nowo wznoszone, zachowywały prawdziwy styl podhalański. Niektóre, będące połączeniem różnych motywów tego oryginalnego budownictwa, są tak piękne, że im się dziwią cudzoziemcy, i z czasem styl ten znajdzie właściwe sobie stanowisko między stylami europejskimi, nie niższe, a może nawet wyższe od szwajcarskiego. Nowy kościół z kamienia został już ukończony, a wewnętrzne w nim ozdoby wszystkie składają się z motywów góralskich, poczynawszy od świe-



czników, a skończywszy na ołtarzu i konfesyonałach. Prawdziwym jest zaś arcydziełem kaplica Gnatowskich. Są to dzieła tak oryginalne tak piękne, że opisywać je trudno. Jedźcie i oglądajcie!

## Dzienniczek Wąndzi.

(Dalszy ciąg).

*Hanoi 1 Lipca.*

Ogromny się ze mnie zrobił leniuszek, nic nie robię, a jeszcze opieszale, biorę się do dzienniczka. Mamusia mnie pociesza, że to lenistwo pochodzi z upałów, od których ciągle mnie głowa boli, co mamusię bardzo martwi, a i ojcuszek, chociaż niby na to nie zważa i twierdzi, że to rzecz zwyczajna tutaj w tej porze roku, jednak widzę, jak zwraca na mnie często nie spokojne oczy, gdy powróciwszy do domu w południe zobaczy mnie leżącą na trzcinowym fotelu a przedemną stojącego Be-cu z wachlarzem w rękę, co oznacza, że znów mnie trapi ból głowy. Nie chcąc rodziców śmartwić, nieraz zatajam, jak mi jest niedobrze, i staram się chociaż do bramy ogrodu zejść ojca powitać, bo gdy tego nie zrobię, słyszę jak biedny ojcuszek w kilku susach jest w moim pokoju na górce, a potem niby obojętnie pyta:

„Pan Pasek chory?”

Szczęśliwie dzisiaj spadł deszcz i temperatura znacznie się ochłodziła. Z radością chwytały w spragnione piersi orzeźwiające powietrze.

Prześliczne są tutaj świecące muchy, dosyć duże, pojawiające się zaraz po zachodzie słońca. Wyglądają wśród zieleni jak migające światełka, a na tle nieba jeszcze piękniejsze, bo przelatują podobne małym meteorom. Po dzisiajszym deszczu zwłaszcza nagromadziła się ich moc; siedząc późno w noc z rodzicami na werandzie, aby użyć chłodu, mogliśmy się im dowoli napatrzyć.

Przedmiotem naszej rozmowy był jak zwykle powrót do Francji i cała nasza rodzina. Co oni tam robią, ci nasi ukochani, czy nas wspominają tak często jak my ich tutaj. Zapewne w tym czasie wybierają się do wód, każdy gdzieś indziej. Wuj Antoś do Zakopanego, ciocia Wandzia z dziećmi do Kołobrzega, wujostwo Ludwikostwo do Crottoy z chłopcami, a ciocia Tolcia jak zawsze do Landeck.

Potem rozmowa przeszła na naszych tutejszych znajomych, na pp. S., których synek będzie miał imię Albert, a jest prześliczny. Idąc do nich dzisiaj mamusia po południu, uległa wreszcie mojej prośbie i zabrała mnie z sobą. Ale ponieważ pani S. jest bardzo chora, więc zostawiła mnie na werandzie, a sama poszła po dziecko. Przyniosła cichutko pokazać mi nowego obywatela. O! co za śliczny chłopczyk! oczki ma czarne i główkę pokrytą czarnymi włoskami, co, jak manusia mówi, jest bardzo rzadkie u małych dzieci. Ach! jaki on miły, patrz! na mnie swymi ślicznymi oczkami, trochę jakby był zdumiony że mnie widzi. Mamusia kazała mi powracać do ojca, który na mnie czekał, do domu, a sama została, aby trochę przy chorej posiedzieć.

Przy kolacyi opowiadał ojcuszek o rozruchach w Chinach. Piraci, o których pisałam na początku mego dzienniczka, teraz pod nazwą bokserów, robią w niektórych okolicach powstanie. Rząd Chiński niby ich otwarcie prześladowa, a skrycie wspiera i wydaje edykta, aby mordowali białych. Ojcuszek mówi, że to przybiera groźniejsze, jak na początku można było spodziewać, rozmiary, bo zbuntowani już kościół katolicki w Tientsinie i zabili kilku misjonarzy. Mój Boże, jakie to okropne, tak mi żal tych bied-

nych pomordowanych. To byli Francuzi, więc niezawodnie Francja się o nich upomni, ale cóż to biedakom pomoże, gdy już nie żyją.

Przyszło właśnie podczas kolacyi zaproszenie na bal dla rodziców od głównodowodzącego wojskami w Tonkinie p. Borguis des Bordes. Naturalnie rodzice pójdą, już mamusia dała do odnowienia swą suknię, którą miała na balu w Paryżu u pp. Gałęzowskich, do krawca Chińczyka. Ciekawam bardzo, czy dobrze zrobi te małe zmiany i czy tak, jak mu mamusia poleciła. Bardzo było zabawnie rozmawiać o paryskiej toalecie z chińczykiem o długim warkoczem, ale tutaj kobiety zupełnie się krawiecczyną nie trudnią.

Na tę noc, którą rodzice spędzą u generała na balu pójdę do pp. Pellacot, aby nie być samą w domu, oni zaś na ten bal nie idą.

*Hanoi 6 Lipca.*

Coraz więcej mówią o rozruchach w Chinach, opowiadają niestworzone rzeczy, co tam się dzieje. Podobno ambasady są obleżone, mają wysłać więcej wojska na granicę chińską. Bardzo mnie te wszystkie wieści niepokoją, tym więcej, że miałam dzisiaj bardzo zły sen. Śniło mi się, że ojcuszek na małej łódce płynął po bardzo wzburzonym morzu, a ja z mamusią, stojąc na brzegu, widziałyśmy z oddali wysiłki, jakie robił, aby się utrzymać na fali. Niebo było ciemne, i od czasu do czasu przerywane błyskawicami. Nie mogliśmy z mamusią niczem przyjąć ojcu z pomocą, bo oddalenie było zbyt wielkie i jak to zwykle w snach bywa, stałam jakby zdrgnięta.

Wtem łódź przechylił nadbiegający bałwan, ojciec stracił równowagę i wpadł do morza. Pełna przerażenia i trwogi o życie ojca, rzuciłam w jego stronę mój mały złoty medalionik z Matką Boską i fale uspokoiły się, ustąpiły, a na miejscu, gdzie była woda, roztoczyła się prześliczna zieloność łąka i ojciec, wesoły i swobodny, szedł ku nam, trzymając w ręku mój medalionik. Naturalnie rodzicom o tym moim śnie nie mówiłam wcale, bo mamusia by to zaraz wzięła za jakąś złą wróżbę i niepotrzebnie by się martwiła. Muszę już kończyć miłą z tobą gawędkę, mój Kochany dzienniczku, bo mamusia woła, że ordynans czeka, aby mnie odprowadzić do pp. Pellacot, gdzie do jutra zostanę, to jest do powrotu rodziców z balu. Mamusia ubrała się w swoją balową toaletę wcześniej niż tego była potrzebna, abym ją mogła podziwiać. W takiej sukni, to dopiero widać, jaka moja mamusia jest śliczna. Taką ma piękną figurę, chociaż szczupłą, bardzo białą, a przy tem ma ciemne włosy. Wogóle mamusia moja jest śliczna, ale to śliczna, zakasuje wszystkie panie, co się tam będą znajdowały. Ale ojcuszek także będzie piękny, bo weźmie galowy mundur o trzech galonkach, jako kapitan i na pierśiach będą mu błyszczeć: palma akademicka, którą dostał za prace naukowe, dragon z Dahomeju, gwiazda i medal za Madagaskar. Nie każdy kapitan w tatusia wieku ma tyle odznaczeń co ojcuszek, który jest jeszcze bardzo młody, bo nie ma lat czterdziestu. Nie mogę dłużej pisać, bo ojcuszek patrzy mi przez ramię i śmieje się okropnie ze mnie; no do jutra, dzienniczku drogi, opowiem ci o sukcesach balowych moich rodziców. A teraz rzucam pióro i biegnę. Do widzenia, do jutra.

Cieszę się bardzo na dzieci! Oj będziemy dokazywali!

### MAPKA KOLEI KALISKIEJ.

Nowa kolej to dla każdej okolicy rzecz ogromnego znaczenia, jak to wyjaśniliśmy czytelnikom „Wieczorów” w Historji środków komunikacji. Obecnie buduje się nowa kolej, długości około 300 wiorst, która łączyć będzie Warszawę z Kaliszem, przecinając okolice kraju ludne i bogate, a pozbawione dotąd dogodnej komunikacji. Dla tego podajemy mapkę tej kolei, która na rok przyszły już będzie otwarta.



## ZE ŚWIATA.

**Kot oceniony na 25,000 franków.** Koty pomimo swej użyteczności w tępieniu wielu złośliwych szkodników, które tak w rolnem, jak i domowem gospodarstwie dobrze się dają we znaki ludziom, mniej daleko od psów bywają przez nich lubiane. Wiele osób okazuje im nawet niechęć i wstręt niepokonany. Znajdują się jednakże i pod tym względem liczne wyjątki, nawet pomiędzy ludźmi obdarzonymi wyższym umysłem i zajmującymi wybitne stanowisko w społeczeństwie. Do takich należeli: sławny poeta francuski Wiktor Hugo, oraz żalowany powszechnie minister angielski Gladstone. Ze współczesnych pisarzy francuskich jako wiernych przyjaciół biednych kotów, możemy tu wymienić Piotra Lotiego i Emila Zolę.

Na odbytej niezbyt dawno w Paryżu wystawie kotów, przyznano złoty medal osobnikowi należącemu do rasy kotów angorskich, odznaczającemu się nadzwyczaj długim, jedwabistym włosom, popielato-białawej barwy. Zwierzę to było własnością pewnego amerykanina, który lubił je do tego stopnia, że nie przyjął 25,000 franków, jakie mu za nie ofiarowano.

**Dowcip pani Modrzejewskiej.** Niedawno, podróżując po Stanach Zjednoczonych, znakomita artystka nasza, Helena Modrzejewska, zaprosiła na obiad do prywatnego swego wagonu kilku dziennikarzy. W czasie rozmowy poobiedniej jeden z gości zaczął dowodzić, iż język polski jest chropowaty i mało śpiewny, szczególnie w porównaniu z językami romańskimi: francuskim i włoskim.

— Sądzę, że pan się myli — przerwała mu pani Modrzejewska — i że będę mogła dowieść, iż język polski jest nie tylko śpiewny, ale nawet dziwnie nadaje się do deklamacji najwznioślejszych utworów wyobraźni.

Po chwili dodała:

— Nie wymienię tytułu, ani nie opowiem treści poematu, który mam zamiar panom zadeklować, pozostawiając to waszej domyślności.

Usłyszawszy te słowa, obecni natężyli uwagę, a pani Modrzejewska zaczęła deklamować z artyzmem, który zjednał jej sławę na całym świecie. Gdy skończyła, ogólne oklaski dowiodły, iż zachwyciła słuchaczy, postawiła na swoim i wygrała sprawę.

Wzięto się do odgadywania treści poematu. Jeden z dziennikarzy oświadczył, że sądząc z zapалу i dobitności deklamacji, utwór deklamowany musi być odą, inny przypuszczał w nim epos wojenne; jeszcze inny twierdził, że to wielka pieśń uczuciowa, wszyscy zaś na jedno się zgadzali, a mianowicie, że to poemat bohaterski.

Artystka słuchała cierpliwie tych opinii, a gdy ostatni sąd został wydany, odezwała się z lekkim odcieniem złośliwego tryumfu w głosie:

— Prawdę powiedziawszy, wszyscy panowie jesteście w błędzie. Piękny poemat, którego słuchaliście i który oklaskiwaliście tak życzliwie, jest niczem więcej, jak tylko liczeniem od jednego do stu po polsku.

### SZARADA.

E. L.

*Pierwsze* wspan, dopływ Wisły z prawej strony,  
*Drugie* zwierz prawia dziś już zaginiony.  
A wspan to imię biblijnej kobiety,  
Skromnej, lecz wielkiej przez serca zalety.  
Lecz gdy przy *drugim* umieści się *trzecie*,  
Będzie to państwo niegdyś sławne w świecie,  
Z naszych też dziejów złączone wspomnieniem,  
Co swej potęgi zaledwie jest cieniem.  
Straciwszy dawno grozę majestatu.  
*Wszystko* zaś razem jest to nazwa kwiatu.

### ŁAMIGŁÓWKA KRZYŻOWA.

A. Z.

Wyszukać 3 wyrazy, któreby w kierunku pionowym i poziomym jednakowo czytać można.

Znaczenie wyrazów: 1) Grecka bogini wymierzająca sprawiedliwość. 2) Imię męskie. 3) Twierdza w Armenii.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 20.

*Szarady:* Bar — na — ul.

### Łamigłówki w trójkącie:

W	i	n	c	e	n	t	y	P	o	l
I	n	o	w	r	o	c	ł	a	w	
N	o	s	o	r	o	ż	e	c		
C	h	r	z	a	n	ó	w			
E	d	i	s	o	n					
N	e	a	p	o	l					
T	y	r	o	l						
Y	o	r	k							
P	a	w								
O	b									
L										

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze, przez Waleryę Marrenę Morzkowską (z ryc.). — Pokłosie, wiersz przez T. K. (z ryc.). — Zabawy. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowską (dokończenie). — Dzienniczek Wandzi. — Mapa kolei kaliskiej (z ryc.). — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Zabawa, wiersz (z ryc.) — Komar przez Zofię Kwiatkowską. — Dzieci w podróży. — Królowa Macierzanka, przez Andrzeja Niemojewskiego. — Łamigłówki i rozwiązania. Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Hrabina, powieść przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 22 Июля 1901 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.





## Z A B A W A .

To zabawa, a wesoła —  
Wsiadł Karolek na konika  
Trąbi rażno, wio! wio! woła,  
Konik słucha bez biczyka.

Na krzeselku jak w karecie,  
Siedzi Julek patrzy śmiało,  
Bo zabawa w konie przecie,  
To uciecha, jakich mało.

Z. Z.

## K O M A R .

Hania i Jadwisia bawiły się nad sadzawką, gdzie przypatrywały się z zajęciem maleńkim kijankom, których pełno było na brzegu wody. Nauczycielka dziewczynek siedziała w pobliżu, czytając pisma. Wtem Hania przybiegła do niej, wołając:

— Proszą pani, chodźmy stąd, bo te komary nas zjedzą.

Panna Marya spojrzała na Hanię i aż krzyknęła, zobaczywszy, że twarz jej i ręce pokryte były mnóstwem

bąbli. Zawołała i Jadwisię, która wyglądała również opłakanie i poszła z dziewczynkami do domu, gdzie zwilżyła im twarz i ręce amoniakiem.

— Dlaczego one wczoraj nas nie kąsały — odezwała się Hania — a dziś..

— Bo wczoraj bawiłyście się w głębi ogrodu, a dziś nad sadzawką. Komary lubią przebywać nad stojącą wodą i w niej to składają samiczki swoje jajka. Każda z nich składa po paręset takich jajeczek, z których po dwóch dniach wylęgają się młode gąsienice i unoszą się na powierzchni wody.

— A co te gąsienice jedzą? — spytała Jadwisia.



— Gąsienice komara żywią się mułem i gnijącymi ciałami, jakich nigdy w takiej wodzie nie brakuje. Po paru tygodniach gąsienica zamienia się w poczwarkę, która nic nie je, lecz pływa sobie po wierzchu wody, odychając rurkami, jakie ma po obu stronach głowy.

Mniej więcej po dniach dziesięciu z poczwarki wychodzi zupełnie już wykształcony komar, który wyfruwa wesoło na świat.

W wodzie topi się mnóstwo komarów, które czasem mają zbyt jeszcze słabe skrzydła, aby oprzeć się jeśli wiatr zawieje. Wiele też gąsienic i poczwarek zjadają żaby, ptaki i wodne owady. Pomimo to jednak komarów jest zawsze dużo nad wodą, czego zresztą doświadczyłyście dziś na sobie.

Nasze komary, które jak powiedziałam, znajdują się nad wodą, a także w pobliżu wilgotnych lasów, nie są jeszcze tak dokuczliwe, jak komary krajów gorących, znane pod nazwą *moskitów*.

Nie pomagają zasłony z gazy i franki: moskity wciśkają się przez najmniejsze otworki, tną niemiłosiernie swoje ofiary. Niektóre pokolenia dzikich w Ameryce i Afryce palą w chatach nieustanny ogień, aby dymem odstraszyć natrętników.

Pod szkłem powiększającym komar przedstawia się jako ładny owad. Złapiemy kiedy tego utrapieńca i wsadzimy go pod mikroskop, a wówczas zobaczycie, że ten szkodnik, ten chciwiec na krew naszą, nie jest wcale wstrętny.

Komar zdumiewająco szybko macha skrzydełkami, obliczono nawet, że czyni to 3000 razy na minutę, co wywołuje brzęczenie, które można słyszeć bardzo wyraźnie, szczególnie w nocy.

Temi szkodnikami są jednak tylko samiczki, które siadają na skórze ludzkiej i przecinają ją, napuszczając nieco jadu, który działa silnie na krew. Z tego to jadu tworzy się bąbel i powstaje nieznośne swędzenie. Jeżeli się niema pod ręką amoniaku, należy ukłócić obmyć chociaż zimną wodą, co zawsze przyniesie pewną ulgę.

Na Węgrzech istnieje pewien gatunek komara, który zjawia się w wielkich rojach. Roje te, ciemną chmurą spadają na ludzi i bydło. Kłują je, włożą w oczy zwierząt, w nos, w pysk, a nawet czasem w skutek zapalenia, jakie powstają z ich ukąszeń, sprowadzają śmierć. Niema na nich innego sposobu, jak rozpalanie ognisk, gdyż tylko silny dym wystrasza tych utrapionych natrętów.

Zofia Kwiatkowska.

## DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

Tadzio i Janek zaczęli gwizdać — niby tak dla siebie, ale tatuś ich wyłajał i powiedział, że nie trzeba nigdy nic takiego robić, bo Niemcy mogliby myśleć, że jesteśmy dzicy ludzie. Powinniśmy zawsze być grzeczni, od nich na dowód, że nie jesteśmy dzicy. Niewielka sztuka być niegrzecznym, byle kto to potrafi.

A teraz ustęp z drugiego listu Helenki:

„Jest tu w restauracyi gdzie jadamy, śliczny pies, ogromny, czarny, kudłaty, z którym się bardzo lubimy, szczególnie Janek. Pies nazywa się Dunaj, wychodzi zawsze na nasze spotkanie, i nigdy się nie spóźni, jak gdyby miał zegarek i wiedział, która godzina. Siedzi przy nas na werandzie w czasie obiadu, ale się nie napiera o jedzenie, choć przyjmuje z radością, co mu się da. Janek zabiera wszystkie resztki i daje je swoim widelcem, którym i sam potem je, bo się nie brzydzi swojego przyjaciela. A Dunaj bardzo zgrabnie zdejmuje kawałki z widelca. Często też chodzi z nami na spacer, ale rodzice gniewają się o to, bo się boją, żeby pies nie zginał albo nie zrobił jakiej psoty, bo nie jest posłuszny i nas za nic ma. Wczoraj szliśmy na obiad i Dunaj spotkał nas na drodze, i zaczął się bawić i gonić z Jankiem, który zamiast iść z nami został przed restauracją, na deptaku. Tak tu nazywają to miejsce, gdzie wszyscy spacerują... Myśmy już usiedli i rodzice zadysponowali, co będziemy jedli, kiedy Janek przybiegł na wyścigi z Dunajem. I razem wpadli na werendę, pod nogi Franciszkowi, kelnerowi, który nam zawsze służy i jest dla nas bardzo grzeczny, a teraz niósł półmisek jajecznicę dla mamy i cici, bo to był postny dzień. Dunaj podbił nogi Jankowi i przewrócił go pod nogi Franciszka, Franciszek się potknął, półmisek się przechylił i jajecznica wylała się na twarz i ubranie Janka, a Dunaj swoim ogromnym językiem oblizał go tak prędko i tak dobrze, że był cały mokry, jak umyty, choć odganiał Dunaja z całych sił. O! co to było śmiechu! Obie mamy do łez się śmiały, i wszyscy goście na werandzie, tylko Jankowi na płacz się zbierało ze wstydu... A Dunaj ciągle do niego doskakiwał i oblizywał się, jakby chciał powiedzieć, że jajecznica była dobra. Pewnie jej nie jadł jeszcze nigdy! My się też śmiejemy, że teraz będzie jeszcze więcej lubił Janka, kiedy zobaczył, że można na jego twarzy znaleźć takie dobre rzeczy...

Miałabym ci dużo jeszcze do powiedzenia, przyjacielu Bronisiu, ale nie mam czasu, bo za chwilę jedziemy na spacer, na polankę, gdzie ma być bardzo ładnie. Opiszę ci to w drugim liście...

### II. Trzy korony.

Dzień pogodny, ani jednej chmurki na niebie, a przed domem, gdzie mieszkają nasi znajomi, stoją górskie wózki. Dzieci wynoszą szale, serdaki, koszyki z jedzeniem: nawet samowar jedzie na wycieczkę.

— Niech też i on użyje spaceru! — żartuje Janek.

Wózki ruszają: już są pod restauracją Oleksego, gdzie na schodach wiodących na werandę stoi Dunaj i macha radośnie ogonem. Janek niepomny ostrzeżeń tatusia, nie może się powstrzymać i woła:

— Dunaj! tu!

Niepotrzeba więcej Dunajowi, który w wielkich susach zbiega na dół i zawraca na drogę, na spotkanie wózków, z silnem postanowieniem wzięcia udziału w wycieczce. Daremne byłoby odpędzanie — trzeba się pogodzić z losem i przyjąć niespodziewanego towarzysza — tylko rodzice zapowiadają Jankowi, że on będzie odpowiadał za wybryki i psoty gościa, którego zaprosił. Janek



gotów zaręczyć swoją głowę za przyjaciela, więc jadą wszyscy wesoło, gawędząc z góralami i ciesząc się na piękny widok ze szczytu Trzech Koron, najwyższej góry z całego pasma Pienin, wśród których leży Szczawnica. Przejechawszy most na Dunajcu, pod Krościenkiem, zwracają wózki na lewo i zaczynają piąć się pod górę. Droga zakręca się wielokrotnie, idzie pod lasem, brzegiem pól obsianych, coraz wyżej, wyżej, a na każdym zakręcie coraz to inny, coraz piękniejszy widok. Widać już Tatry, i śnieg na ich szczytach błyszczący w słońcu; widać Czorsztyń, który dzieciom pokazuje pan Korwin obiecując, że innym razem pojedą zwiedzić te zwaliska. Wszyscy patrzą i patrzą — i zdaje im się, że jakaś czarodziejska moc przeniosła ich do innego świata, który w niczem nie jest podobny do tego, w jakim dotychczas żyli. Helenka woła co chwila:

— Ach! co za góry! co za góry!

Janinka dodaje z powagą:

— A nam się zdawało, że u wujenki w Lubelskiem są góry... Co za porównanie!

W końcu wózki dojeżdżają do sporej łączki, odkąd już wszyscy będą szli pieszo, bo droga bardzo stroma. Drużyna przez las drapie się w górę, przystając co chwila dla nabrania oddechu. Wreszcie wydostają się na sam szczyt skalisty, jeden z trzech zębów stanowiących wierzchołki Trzech Koron — i stają zdumieni wspaniałością widoku. Na dole, u stóp prostopadłej ściany skalistej, wśród lasów i gór, połyskuje Dunajec: na drugim brzegu, widać Czerwony klasztor, już na węgierskiej ziemi. A nad nim, i w około, góry wszędzie: to skaliste, to lasami porośłe. Czorsztyń stąd wydaje się tak mały, jakby podnózek Trzech Koron: ku zachodniej stronie góry coraz mniejsze, i tylko daleko, daleko, majaczeje Babia Góra, podobna do olbrzymiego stropu — siedząca na płaszczyźnie, jakby strzegła wrót do tej czarownej, górskiej krainy.

(d. c. n.)

Andrzej Niemojewski.

## KRÓLOWA MACIERZANKA.

(Dalszy ciąg.)

### ODSŁONA II.

(Sala w zamku królewskim. W głębi przez szklane podwoje widok na ogród zalany światłem słonecznym. Królowa Macierzanka pisze przy biurku. Z boku stoi ochmistrzyni).

#### Ochmistrzyni.

Nie płacz, o! nie płacz, dobra królowo!  
Choć król na wojnie długo już bawi,  
Wróg piersi jego strzałą nie skrwawi,  
Wróci on laurem zwieńczoną głowę!  
Tymczasem tutaj, o pani miła,  
Tyś mu dwunastu synów chroniła,  
A każdy z rojem gwiazdek na czole  
I złotym sierpem księżycą w dole!

Ach, jak w ogrodach igrają dziatki,  
Łowiąc motylki, zrywając kwiatki!  
Jak się ucieszy serce królewskie,  
Gdy ich znów ujrzy! Ach, otrzyj łezkę,  
Pisz, pisz do niego, a ja z pod szafca  
Wnet najlepszego wezwę posłańca;  
Jest to żołnierz a ma konika,  
Który od wiatru żwawiej pomyka!

#### Królowa.

Ach, te dzieci i ich pieszczoty  
Jedyną ulgą są wśród tęsknoty.  
Właśnie list kończę. Lecz serce moje  
Jakieś nurtują wciąż niepokoje!  
Idź do ogrodów, popatrz na dzieci...  
Lecz cóż to? Słońce ciemnowo świeci?  
Wszak to południe, więc blasków pora,  
A taki pomrok jak wśród wieczora!

#### Ochmistrzyni (w podwojach szklanych)

Zaiste pomrok! Czy chmura spływa  
I na błękitach słońce zakrywa?  
Tak, jakaś chmura... Nie, to nie chmura!  
To ptak olbrzymi w ogrody spada!

#### Królowa.

Biegnij po dzieci!

#### Głosy (w ogrodzie).

O biada, biada!

#### Królowa.

Słyszysz tę wrzawę?

#### Ochmistrzyni.

O nieszczęśliwa!

Ptak spada, synów twoich porywa,  
Mknie oddział zbrojny, lecz cóż on wskóra;  
Ach, mdleję z trwogi! (Słania się).

#### Królowa.

Nie czas na mdlenia!

O dzieci moje! (Wybiega. Wrzawa rośnie).

#### Ochmistrzyni.

Mknie jak szalona!

Ptak — to olbrzymia jakaś orlica,  
Skrzydłami swemi słońce przycienia!  
Dziecko za dzieckiem w szpony pochwycą,  
Pani ostatnie tuli do łona...  
Och! nakryj chustką, zmylisz orlicę —  
Słabo mi, trwoga mgławi źrenice...  
Nakryj je chustką!... Och, chwilką jeszcze,  
Mdleję... śmiertelne wstrząsają dreszcze...

(Dwór wystraszony i narzekający wchodzi z królową, która jęcząc tuli do łona ostatniego syna, nakrytego chustką).

#### Królowa.

Biedna ja matka! Gdzie syny moje!  
Gdzie skarby moje! Pocięchy moje!  
Ledwie dziecina jedna została,  
Którą z drapieżnych szponów wyrwała!  
Także to wyście strzegli mych dzieci?  
Niech wam mej krzywdy Bóg nie pamięta!  
Ach, z jakąż wieścią goniec odleci,  
Cóż teraz powie list mój królowi?

#### Wojewoda.

Drużyna twoja jak gromem tknięta...  
Pani, niezwykła to jest orlica,



Jej nie poradzi miecz i zbroica!  
 Lękam się mówić, lecz mi się zdawa,  
 Że w tem jest jakaś nieczysta sprawa!

### Ochmistrzyni.

Tak, to są jakieś sprawy szatańskie!  
 Lecz poco serce zasmucać pańskie?  
 Król nic o synach dwunastu nie wie,  
 Donieś o jednym z księżycem w dole  
 I rojem jasnych gwiazdek na czole!  
 Małaż to radość? Taki synaczek,  
 Takie kochanie, taki robaczek!

### Wojewoda.

To zacna rada. Pisz tak, królowo,  
 A ja po gońca biegnę na szaniec. (*Wychodzi*).

### Królowa.

Z kłamiwą wieścią pójdzie wysłaniec,  
 Lecz króla wieści nie zmartwi słowo.  
 O liście piękny, podrzec cię muszę,  
 Ty, w który całą włożyłam duszę!

(*Drze list i pisze drugi płacząc*).

O mężu luby! List inny piszę...  
 Będziesz go w błogiej czytał radości,  
 Gdy mnie pękało serce z żalości  
 Podczas pisania...

### Ochmistrzyni.

Już kroki słyszę.  
 Zjawia się goniec.

(*Wchodzą: wojewoda i goniec*).

(*d. c. n.*)

### SZARADA.

od Żywili dla Wichury.

*Trzecie i pierwsze*, to miasto dawne,  
 Mające szkoły pożytkiem sławne.  
*Drugie i trzecie* w prastarym Rzymie  
 Posągom przodków dawane imię.  
*Wszystko* mknie szybko po rzecznej fali,  
 Aż ku mórz brzegom, hen z krajów dali,  
 Z ładunkiem drzewa, albo też zboża,  
 Którymi darzy nas łaska Boża.  
 I pieśń rozbrzmiewa dzielnych flisaków,  
 Gdy owoc wiozą dla warszawiaków.

### ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

ul. Biały Kruk.

G. r. l. ch. L. m. n. c. . L. d. w.  
 N. d. b. a. l. m. r. z. ch. m. a. r.  
 P. d. n. sz. sw. j. d. m. n. g. l. w.  
 K. r. l. T. t. r. z. ń. s. k. ch. g. r.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 30.

### Zagadki w obrazku:

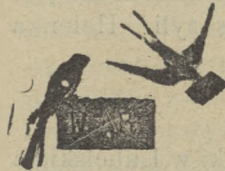
Wilk, który siedzi w krzakach, po prawej stronie obrazka.

Zagadki: Kazimierz.

### Arytmogryfu:

1) Kulig. 2) Oranie. 3) Ster. 4) Sos. 5) Arno. 6) Korzon.

Kossak — Gerson.



## Skrzynka do listów.

Kwiat Paproci z pod Kutna zachęcamy do dalszej korespondencji, zarówno z Jaskółką, jak z Redakcją naszą. Ulubiony twój ptaszek za powrotem z wakacji odpowie na wszystkie zadane mu pytania, my zaś z niemniejszą ochotą gotowiśmy prowadzić listowną pogadankę z czytelniczką, która zarówno szczerze określa ujemne jak i dodatnie strony charakteru swego. Dowodzi to, że umiesz zastanawiać się nad sobą, co jest pierwszym warunkiem korzystnego moralnego rozwoju. Niech cię też nie zraża powtarzane często zdanie, że najtrudniej poznać samego siebie.

Odziedziczyłeś widoczne upodobanie w dzielnych rumakach, skoro piszesz nam Ludwisiu L., że marzeniem twojem jest posiadać kiedyś w przyszłości konia arabskiej rasy. Słuszny uczyniłeś wybór, bo konie te odznaczają się rzeczywwiście nieznównaną zmyślnością i rącością. W użyciu pod wierzchem żaden koń nie dorówna rumakowi arabskiemu, który choć pełen ognia i fantazy, jeźdźcowi swemu zawsze bywa uległy, w niebezpieczeństwie okazuje rzadką odwagę i przytomność, z miejsca pędzi szybko jak kula, a jak mur osadzi w miejscu. Nie dziwimy się też wcale, że takiego zwinnego i wiernego czworonożnego przyjaciela radbyś posiadać w przyszłości.

Maciusiowi G. nie dla bezmyślnej a nielitościwej zabawki, ale w celach naukowych zbierającemu kolekcję krajowych motyli podajemy sposób chwytania tych owadów, zalecony przez p. Wł. Umińskiego, znanego wam z artykułów w „Wieczorach,” badacza przyrody. Do tego rodzaju polowania potrzebne są następujące przyrządy: 1) siatka umocowana na kiju z musliu lub tiulu, 2) szczypce zaopatrzone na końcu w dwie siatkowe klapki do chwytania motyli na kwiatach, wreszcie 3) buteleczka z eterem, benzyną lub terpentyną, których parę kropel puszczonej na łebek schwytanego owadu, zabija go bezzwłocznie, oszczędzając takich męczarni, jak przekłuwanie szpilką. Łatwo zebrać możemy dużą ilość różnych gatunków motyli, łowiąc je w lesie i w tym celu stawiając latarkę zapaloną na rozpostartem, białem prześcieradle; samemu należy czatować obok ze szczypcami i benzyną. Najlepiej jednak hodować te owady z gąsienic i poczwarek, lubo wymaga to większej cierpliwości i nieraz trzeba czekać cały rok, zanim z poczwarki wyjdzie barwny motyl.

Rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: Zbyszko, Kwiatkowski, S. Berens, Lilijska z Chmielnej, Maryla z n. Narwi, Dzika Gemza, Juraś M., i Ańdzia.